

Piekietko



WŁADYSŁAW ORKAN

PŁANETY

Piekietko

Słońce, wytaczając się powoli z poza szczytów, padło promieniami na zadymione szyby w Błażkowej izbie. Rozwidniło się nagle w niskiej, zakopconej piekarni.

— Wstawać! Kaśka, Maryna, Józek! — krzyknął Błażek, zrywając się z pościeli.

— Do roboty! — szturknął babę pod zebro. — Nie cujes, kieli to dzień?!

— Cy nie wściórnoscy! — zakłęła po cichu, przeżegnała się i wyskoczyła z łóżka. Poszła do kotła po wodę, a słoma wlokła się po izbie za spódnicą, którą po drodze opasywała. Błażek zaś podszedł ku wyrkowi i szarpnął za paruchę, okrywającą dwie chrapiące głośno, zwinięte w kłębek postacie.

— Do południa będziecie się wylegować, cy co? Nie widzicie, że juz kury od wody, a dziód z trzecie wsi?

Maryna, leżąca z kraju, zesunęła się na ziemię i poczęła wycierać zaspane, błędne oczy. Józek mruknął parę słów niezrozumiałych i odwrócił się ku ścianie. Rozłuszczony ojciec zamierzył się pięścią.

— Wstawoj, ty głuchy psie! Bo jak cie polnę!...

Chłopak wytrzeszczył szeroko zaspane oczy.

— Nie cujes, co ci godom?

— Przekłęty lysopol!... — wypadło od nalepy, gdzie baba rozdmuchiwała węgale.

— Tłuką się i tłuką, jak pięćset djabłów razem, juz od samego świtu! — poczęła Maryna dojadać ojcu.

Błażek ucihł i ukląkł przy skrzyni do pacierza.

Czuł wiszące nad lysą głową ciche sprzemierzenie bab na cały dzień i dał spokój Józekowi, chcąc zabezpieczyć sobie jego pomoc. „Syn zawdy powinien za ojcem” — uczył go od mała, by mieć na starość oparcie.

— Tako psio pokusa! — mruzczała baba, kładąc drwa na ogień.

Maryna zatknęła za pas onuckę, siadła pod oknem na ławie, przysunęła koszyk ze ziemniakami i poczęła skrobać.

Józek zwłókl się pomału z wyrka, przeciągnął kości parę razy, aż zaskrzypiało w stawach, ziewnął szeroko, i począł iść ku nalepie z zamkniętymi oczyma, po omacku. Utknął się na drwach, leżących przy nalepie.

— Ścieklina! — zaklął, nie wiedzieć komu.

— Nie umies chodzić, zdechlino? — wrzasła mu nad uchem matka, zamierzając się ocedzarką. — Jesce łbem wpadnies do gorcka... Uwazuj na się!

— A wtoz drwa nakłol przy nolepie? — oburzył się „głuchy” Józek. — Moze ty, wędrownne ocy! — zwrócił się do Maryny.

„Wędrownne ocy” drzemały nad skrobaniem. Skoczyła, jak oparzona.

— E coz ty chces odemnie, ty psie oblaży!...

— Cit! — przerwała jej matka. — Skrob wartko, bo nie uskrobies na śródpołudni!

Przysunęła cebryczek, siadła z drugiej strony koszyka, wzięła nóż i poczęła skrobać, rzucając oskrobane do brudnej, zamąconej wody.

— Tako psio pokusa! — mruzczała sobie od czasu do czasu, a chwilami szeptała „Zdrowaśki”.

— W Imię Ojca i Syna! — zęgnął się Błażek, wstając od skrzyni. — Djabliby ta zmówili przy wos pocierz! Trzescycie, jak stare cierlice.

Posunął się ku drzwiom.

— Stul pysk! Nie obrozaj Boga!
— Kto obrozo?! — odwrócił się do żony.

Ucichło na chwilę. Stary wyszedł na boisko, „głuchy Józek” oprawiał kerpce, a baby uwijały się ze skrobaniem, żeby jak najprędzej uwarzyć śniadanie, bo już „za ramieniem południe”.

Zanim jednak ziemniaki uwrzały, zanim je matka ocedziła, musieli wszyscy zjeść po pół kopy „djabłów”, „głuchych psów”, „psie wełny”, „psie sierści”, „zdechlin” i tym podobnych delikatesów. Ze psa nic nie zostawili, ani strzępka; tak go obrobili doszczętnie.

— Bedzie to śniadanie, cy nie?! — krzyknął Błazek już w sieni, idąc z boiska.

Lecz zaledwo wszedł za próg do izby — „wsuła mu baba między ocy pornoście grzychów, kunirując, co się ino zmieściło”. Zrobili w izbie taki „toter”, jakby się ze sto ludzi zeszło. Matka z córką wsiadły na ojca, że się nie miał gdzie podzieć. Przywieralo wszystko na nim, jak na psie. Szczęściem „głuchy Józek” wmieszał się pomiędzy nich, i na niego wylała się cała wezbrana złość matki i siostry. Stary zemknął ku piecowi i poskurczał się na ławie, rzekłbyś, że „Bogu ducha winien — nic więcej”, a „głuchego” przysiadły baby, że im się ledwo zdołał wymknąć.

Odetchnęły na chwilę, gryząc w cichości gorzką żółć, obsiadła na sercu.

Niechby teraz kto obcy palec między nich wetknął — wszyscy rzuciliby się na niego, jak podrażnione osy. Poznałby nieszczęśliwy, co to mieszać się w nieswoje rzeczy, gdyby przypadkiem podstawił głowę pod niewylany upust żółci. Opadliby go rozjuszonem gniazdem szerszeni. A ktoś, patrzący z zewnątrz, wydziwiłby się nie mógł ich rodzinnej miłości, jak solidarnie napadają, jak jeden za drugiego nadstawia głowę do rozbicia.

Nareszcie Maryna poustawiała ławki na środku izby i dwie miski postawiła na jednej z nich. Łyżek nie podała, żeby mieć powód rozpoczęcia nowej kłótni z „głuchym”.

— Ino bez obrazy boskie! — karciała ich matka.

Tuzin przezwisk różnorodnych rzucili na siebie, zanim siedli „bez obrazy boskie” przy misce.

Stary milczkiem przysunął się ku nim, siadł na końcu ławki i sięgnął po największą, ojcowską łyżkę.

Przeżegnał się przedtem i, składając nabożnie ręce, począł szeptać:

— Pobłogosław Ojce niebieski te dary...

— Posuń-ze sie wilcy krztoniu! — zwróciła mu delikatnie uwagę żona, siadając obok z garnkiem maślanki w lewej ręce, którą przylewała do ziemniaków.

Umknął się — poczęli jeść w milczeniu, sięgając z dala na miskę i polykając całe, a jak drobniejsze — dwa na raz ziemniaki. Niedługo wytrzymała matka, żeby się nie odezwać.

— Józek! Nie wychliptuj mleka!

— To dolejcie!

— Jo ci doleję, ty psio pokrako! Przydzie cas żebyś zjodł suchuteńkiego ziemnioka, jesebyś łapy oblizoł.

Stary, zapatrzwszy się w okno, pochylił łyżkę. Mleko z niej wylało się na ziemię.

— E jakze ty jes, weredo? — szturknęła go styliskiem baba.

Nie odpedział jej jeszcze, kiedy coś zadudniło w sieni, a potem drzwi zaskrzypiały na zawiasach.

Obejrzeni się wszyscy. Na progu stanął chuderlawy chłopina.

— Niech bedzie pochwalony!

— Na wieki wieków! Witacie kumotrze!

— Podź-cie dalej! Zeprzyjcie sie...

Przybyły kumotr zerknął ukradkiem po izbie i uśmiechnął się złośliwie.

— E dyć wy se tu jecie, jecie... a nic nie wiecie, co sie stało...

— Coz takiego?! — wrzaśli naraz wszyscy.

— No, coz takiego — cedził zwolna przez zęby uśmiechając się ciągle. — Nic takiego, ino wam sąsiadowe bydło wlażło do kapusty...

— Kaśka, Maryna, Józek! — wrzasnął stary.

Wszyscy naraz praśli o ziem łyżkami, poskakowali i zrobili taki ścisk we drzwiach, żeby palca między nich nie wsunął; porozbijali głowy o słupy lecieli kupą...

Chuderlawy chłopina wysunął się za nimi, wyszedł drugimi drzwiami, a idąc chodnikiem na dół, trząsał głową i dusił w sobie cichy, złośliwy śmiech...

— Niech mają — szepnął. — Niech se ta łby pourywają...

Nad miedzą stanął, obejrzał się za okół. Wszyscy czworo chodzili po rządках z oczami wbitemi w ziemię.

Od czasu do czasu podnosiła się wśród nich wrzawa i „psie pokuse” dolatywały uszu stojącego, którego wargi drgały tajonym śmiechem.

— Jak to chodzą milconie po kapuście! Bydło — to śpilka — nie uźry!... Ale m ich wywiódł, że nie dojedli... Ha! ha!

I poszedł na dół ścieżyną ku kościołowi.

A oni wszystkie rządki przeszli i nie zdołali znaleźć śladu raci bydłęcych, z powodu których mogliby zacząć bitkę ze sąsiadem.

Żli powrócili do izby i poczęli się na nowo żreć pomiędzy sobą, sując se w oczy po kopie djablów i więcej...

Tak bywa dziś i każdego dnia...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/planety-piekielko/>

Tekst opracowany na podstawie: Władysław Orkan, *Planety*, Biblioteka Domu Polskiego, Warszawa 1927.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, a korektę ze źródłem wikiskrybowie. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).